

F r a g m e n t y p a m i ę t n i k a

Na Ziemi Babimojskiej i Międzyrzeckiej 30 lat temu, w 1929 r., powstały szkoły polskie. Dla mniejszości polskiej w Niemczech był to rok pamiętny. Tragedia września 1939 r. była dotkliwa nie tylko dla Polaków w kraju, ale kilkakroć okrutniejsza dla mieszkańców tzw. Pogranicza.

Rok 1939 przekreślił egzystencję szkół polskich i przyniósł wiele cierpień ludności, która swoje dzieci do nich posyłała.

W 30 rocznicę powstania szkolnictwa polskiego w Niemczech postanowiłem spisać niektóre swoje przeżycia z okresu mej pracy w szkole polskiej w Podmoklach Wielkich w latach 1929.

o O o

Parę słów o Babimoście i okolicy. Jest to miłe i schludne miasteczko, liczące coś ponad 3000 mieszkańców (przed 1939 r.). Miasto stare rozwijało się pomyślnie, aż urosło do miary miasta powiatowego. W czasie wojen szwedzkich w XVII w. zostało zniszczone i po tej pożodze wojennej aż do chwili obecnej nie odzyskało już dawnej świetności. Po drugim rozbiórce Polski w r. 1793, w którym miasto i powiat przypadły Prusom – Niemcy pozostawili tu siedzibę powiatu i przechrzcili nazwę na Bomst. Mimo, że w XIX w. miasto Wolsztyn przerosło Babimost i władze powiatowe doń się przeniosły, nazwa powiatu nie uległa zmianie. Po zakończeniu I wojny światowej resztówkę powiatu, która została pod zaborem, nadal nazywano powiatem babimojskim, choć Landratsamt znajdował się w Sulechowie.

Do dziś dochowały się dwa katolickie kościoły – 3-nawowa fara pod wezwaniem św. Wawrzyńca i mały kościółek pod wezwaniem św. Jacka. Kult tego świętego był bardzo żywy, a uczestnicząc w odpustach, miałem możliwość słyszeć, jak nawet księża niemieccy podkreślali polskość św. Jacka.

Poza miastem, nad szosą do Kargowej, istniały aż do I wojny światowej liczne winnice. Od starszych ludzi słyszałem pochwały babimojskiego wina; chwalili je także Niemcy (Bomster Wein). Skoro mowa o winnej lato-rośli – to muszę podkreślić, że Chwalim, wioska położona 4 km za Kargową uprawiała ją najdłużej z całej okolicy. Znałem wielu ludzi, którzy to wino pili.

Kiedyś z dwoma kolegami pojechaliśmy motocyklami do Chwalimia. Miejscowa ludność – to przeważnie luteranie i protestanci, ale mówiący również po polsku. Po nawiązaniu rozmowy poprosiliśmy o butelkę Chwalimer Wein. Odpowiedzieli: „Niestety, moi panowie, wina chwalimskiego już nie ma; około 1925 r. zaniechaliśmy tej uprawy”.

Przed odjazdem z Chwalimia prowokowaliśmy naszych rozmówców do wypowiedzi w języku polskim. Młodzi spoglądali na nas podejrzliwym okiem, starsi tłumaczyli się, że nie mówią po polsku dobrze. Kilku tylko wypowiadało się po polsku – a ich polszczyzna podobna była do mowy serbo-łużyckan.

* * *

Kiedy na początku 1929 r. ukazał się komunikat o angażowaniu nauczycieli do mniejszościowych szkół polskich w Niemczech, skorzystałem z tego natychmiast. Warunkiem przyjęcia były: pełne kwalifikacje i znajomość języka niemieckiego w mowie i w piśmie. Po porozumieniu się z inspektorem szkolnym we Wrześni, gdyż pracowałem wówczas jako nauczyciel w Młodziejowicach, powiat Września, Julianem Staszewskim i po uzyskaniu jego zgody, złożyłem podanie na ręce posta Jana Baczewskiego, ówczesnego prezesa Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Berlinie. W odpowiedzi otrzymałem nominację na nauczyciela w Wielkich Podmokłach, powiatu babimojskiego.

Był czerwiec. Wyjazd za granicę wymagał załatwienia różnych kłopotliwych formalności. Inspektor szkolny zgodził się, że rok szkolny zakończę o jeden dzień wcześniej, tj. 20 czerwca. W Starostwie we Wrześni bez trudu uzyskałem paszport zagraniczny. W Kuratorium Okręgu Szkolnego Poznańskiego wszelkich informacji udzielał mi asesor Jasiek. Kiedy szło jednak o uzyskanie wizy wjazdowej do Niemiec, trzeba było w konsulacie niemieckim w Poznaniu czekać całymi dniami. Niemcy nieufnym wzrokiem mierzyli mnie od stóp do głowy. Po tygodniowych staraniach wizę wreszcie otrzymałem.

Po pożegnaniu się z dziatwą w Młodziejowicach wyruszyłem przez Poznań do Chodzieży. Przyjechałem tu o 23.00 i zanocowałem u kuzyna, również nauczyciela. Nazajutrz wyruszyłem w dość uciążliwą podróż rowerem z Chodzieży przez Ujście do granicy (26 km). Do ujścia przyjechałem wcz-

śnie rano. Tutaj spotkała mnie przykra przygoda. Rower, który pożyczyłem od kuzyna, miałem pozostawić u jego znajomych. Tymczasem zastałem zamkniętą furtkę, a po podwórzu biegał i ujadał wściekle wilczur wielkości bernardyna. Tabliczka ostrzegawcza: „Ostry pies” – zmuszała mnie do cierpliwego czekania, aż właściciele domu się zbudzą. Tymczasem pociąg, którym chciałem dalej jechać, już odszedł.

Wreszcie oddałem rower, załatwiłem formalności w odprawie celnej i w biurze kontroli paszportów. Polscy urzędnicy celni ściskali mi dłoń z życzeniami powodzenia. Od nich dowiedziałem się, że następny pociąg wyruszy dopiero o 16.00.

Przekroczyłem granicę państwową na środku Noteci. Na przeciwnym brzegu napis: „Zur Passkontrolle und Zollabfertigung”. Niemcy byli początkowo grzeczni i uprzejmi, ale kiedy dowiedzieli się, że jadę do Gross Posemukel jako polski nauczyciel – krew ich załała. Chyba jeszcze takiego wypadku owi urzędnicy nie mieli, że przez ich biuro przekraczał Polak – polski nauczyciel, urodzony w Rzeszy Niemieckiej (w pow. Międzyrzecz) – aby uczyć w powstającej w Niemczech szkole polskiej.

Po załatwieniu wszystkich formalności – mając w tece zapas żywności, ruszyłem pieszo do rodzimego grodu Stanisława Staszica – Piły, gdzie odszukałem siedzibę konsulatu polskiego. Konsul, dr Szwarzenberg-Czerny przyjął mnie z największą uprzejmością i udzielił mi wyczerpujących rad, wskazówek i informacji. W międzyczasie urzędnicy zamienili mi zwykły paszport na paszport konsularny, upoważniający do przekraczania granicy w każdym punkcie.

Mimo dwugodzinnej jazdy rowerem z Chodzieży do Ujścia i czterogodzinnego marszu z Ujścia do Piły nie odczuwałem zmęczenia, bo wizyta w placówce Państwa Polskiego, u konsula Szwarzenberg-Czernego pokrzepiła mnie na duchu. Teraz pociągiem ruszyłem do Złotowa, bo tam znajdowało się biuro Polskiego Towarzystwa Szkolnego dla dzielnicy V, którego kierownikiem był Jan Rożyński. Po załatwieniu formalności pojechałem wpierw przez Krzyż – Gorzów – Międzyrzecz do Zielomyśla, do mego ojca i siostr, którzy tam zamieszkiwali.

Nazajutrz kontynuowałem podróż do Podmokli Wielkich, w czasie której przedstawiłem się w Dąbrówce Wielkopolskiej Augustynowi Wagnerowi, który już parę miesięcy przebywał na tym terenie i był faktycznym organizatorem szkół na Babimojszczyźnie. Sprawa otwarcia szkoły w Podmoklach i objęcia przeze mnie posady wymagała szczegółowego omówienia. Aby nie popełnić żadnego błędu, trzeba było dłuższej rozmowy, przeto musiałem zanoceować w Wielkiej Dąbrówce. Przyjął mnie bardzo gościnnie twardy jak granit Polak, u którego później znajdowała się jedna z izb lekcyjnych szkoły polskiej – Wiktor Błoch.

Ostatnim etapem tej podróży była podróż z Dąbrówki poprzez Zbąszynek i Kosieczyn do Wielkich Podmokli.

Tutaj przedstawiłem się zarządowi Rady Szkolnej, w skład którego wchodził: Stanisław Trocholepszny – przewodniczący, Franciszek Taberski



Stanisław Knak

– sekretarz i Franciszek Weimann – skarbnik. Dzisiaj, po trzydziestu latach, wyrażam im serdeczne podziękowanie i hołd, że w ciągu siedmioletniej pracy w Podmoklach zawsze zgodnie ze mną współpracowali. Stanowiliśmy osobliwie zgodny kolektyw, nie było między nami różnic w poglądach na sprawy szkoły. Cel naszej pracy stanowiła obrona przed germanizacją; a przede mną stało dodatkowe zadanie: – postawienie szkoły polskiej wyżej od skarłowaciałej szkoły niemieckiej, w której uczył renegat Wusowski (prawdopodobnie prawdziwe jego nazwisko brzmiało Wąsowski – a zniekształcił je dla przypodobania się Niemcom).

Z tej Rady Szkolnej żyje jeszcze tylko Franciszek Taberski. Wszyscy trzej przeszli gehennę obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen i nic dziwnego, że nadwyrężywszy zdrowie, nie żyli już długo. Franciszek Weimann zmarł zresztą na skutek przykrego i wstrząsającego wypadku, jaki miał miejsce na zjeździe ludności rodzimej w Warszawie w 1946 r.

* * *

Nazwa wsi Podmokle pochodziła stąd, że leżąc nad jednym z dopływów Obry, miało grunty bagniste – podmokłe. W części zwanej Wielkimi Podmokłami, mniejszej niż Małe Podmokle, mieszkali rolnicy posiadający większe gospodarstwa. Nazwa pochodzi zapewne jednak stąd, że prawdopodobnie były tu kiedyś większe błota, bo tu właśnie przepływa rzeczka. Obie wsie stanowiły jedną całość kulturalną, a mieszkańcy jakby jedną rodzinę. Gdy przybyłem do Podmokli, skonstatowałem, że wioska stoi na wysokim poziomie kulturalnym. Czystość i schludność ulicy i obejść, wygląd dzieci i ludzi, drogi, uprawa pól, sady, zabudowania – wyróżniały tę miejscowość i stawiały ją w rzędzie najpiękniejszych wiosek, jakie spotkałem w życiu. Najwięcej ucieszyła mnie jednak patriotyczna postawa ludności.

Zabrałem się do pracy, aby jak najprędzej otworzyć szkołę i rozpocząć naukę. W chwili przybycia miałem do dyspozycji jedynie działkę; szkoła polska nie miała jeszcze ani własnej izby, ani ławki, ani żadnej pomocy naukowej. Porozumiałem się z władzą szkolną, niemieckim inspektorem szkolnym i z nim wspólnie ustaliłem, że w dniu 25 czerwca rozpoczęną po południu naukę w miejscowej szkole niemieckiej. Rozpoczęcie nauki miało się odbyć bez zapraszania rodziców i gości.

Nadszedł upragniony dzień. W kilka minut po godz. 14.00 przyjechał Schulrat Loge, obejrzał dzieci, policzył je i przemówił do nich parę sympatycznych słów. Mnie życzył powodzenia w pracy i jak najlepszych wyników. Loge odjechał, a ja rozpocząłem naukę.

Trzeba podkreślić, że inspektor Hugo Loge odnosił się bardzo lojalnie i dodatnio do akcji otwierania szkół polskich. Kiedy nasz prezes Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Berlinie – poseł Baczewski odwiedzał teren Babimojszczyzny, wypadało wstąpić do kompetentnego Schulrata. Poseł Baczewski pojechał przeto do Kargowej, a po załatwieniu wszystkich spraw, związanych ze szkolnictwem polskim, zaprosił Loge'go na

szklanek wina. Przy kieliszku rozmowa toczyła się w dalszym ciągu wokół otwarcia szkół polskich. Kiedy obaj panowie do reszty omówili sprawę i mieli się rozjechać – podnosi Schulrat Loge szklanicę i mówi: „Also Herr Baczewski, auf das Wohl der polnischen Minderheitsschulen” (A więc, panie Baczewski, na pomyślność polskich szkół mniejszościowych).

Jaki był dalszy los Schulrata Loge’go?

Po niedługim czasie nagle i niespodziewanie, jak bomba z jasnego nieba, spada na niego cios: Oberpräsident v. Bülow w Pile odwołał Schulrata Loge ze stanowiska inspektora i przesiedlił go do Kluczborka (1.4.31 r.). Mało tego. Choć Schulrat Loge cieszył się pierwszorzędną opinią dobrego pedagoga i administratora – gdy 30 stycznia 1933 r. doszedł do władzy Adolf Hitler – podczas tzw. „Gleichschaltung” – pozbawiono go całkowicie nawet urzędu nauczyciela. Czy dziś jeszcze żyje?

Przypuszczać należy, że może nawet nie dożył roku 1939, tylko padł ofiarą hitlerowców.

* * *

Wróćmy do naszej szkoły polskiej. Nauka mogła się odbywać tylko w godzinach popołudniowych w lokalu szkoły niemieckiej. W godzinach przedpołudniowych uczył tam dzieci renegat Wusowski. Po kilku dniach nauka toczyła się już normalnym trybem. Dzieci zaopatrzyłem w podręczniki, zeszyty musiałem częściowo sprowadzić z Polski, ze Zbąszynia – gdyż dzieci dotychczas znały tylko liniaturę niemiecką, tzw. Sitterlin’a (Sitterlinhefte). Do pisma polskiego trzeba było używać liniatury 1:2, 5:4. Trudno było w owych początkowych tygodniach podjąć związaną z pracami organizacyjnymi bieganie. Odczuwałem brak środka lokomocji. Postanowiłem kupić sobie motocykl. Gospodarz, u którego mieszkałem, Stanisław Piątysek, wybrał się ze mną do miasta i motor nabyłem. Wkrótce nasza władza centralna w Berlinie nadesłała nam niezbędne mapy i pomoce naukowe. Trzeba podkreślić, że Związek Polskich Towarzystw Szkolnych działał w błyskawicznym tempie. Zapotrzebowania i zamówienia wysyłał się ekspresami i telegramami i szybko je realizowano.

W krótkim czasie własną izbę szkolną urządziliśmy u Franciszka Taberskiego, męża zaufania i sekretarza Rady Szkolnej. Lokal przygotowany w przeciągu kilku dni, więcej czasu trzeba było na urządzenie boiska, wykonanie ławek i zbudowanie ustępów szkolnych. Zjeżdżały komisje i komisjki z Bauamtu (Urząd Budowlany) utrudniając budowę. Ale daliśmy sobie z nimi radę i już 1.8.1929 r. rozpoczęliśmy naukę we własnym lokalu.

Na uroczystość tę przybyli rodzice i dzieci. Po raz pierwszy dzieci deklamowały i śpiewały pieśni w ojczystym języku. Rozrzewniło to obecnych i po licach wielu rodaków spływały łzy. Na moje przemówienie zakończone apelem – aby zagonu ojczystego strzec jak żrenicy w głowie, by największej wartości, którą są nasze dzieci, nie dać zgermanizować – odpowiedział prezes miejscowego Koła Związku Polaków a zarazem skarbnik Rady Szkolnej – Franciszek Weimann. Na uroczystość przybyli też moi ko-

ledzy z Małych Podmokli, a także ks. Karol Meissner z Babimostu. Zaproszono go na polecenie Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Berlinie. Przyjechał on mimo pogróżek Niemców – szowinistów, choć był Niemcem. Urodził się on w Święciechowie koło Leszna Wielkopolskiego, uczył się i święcenia odebrał w seminarium w Poznaniu i Gnieźnie. Władał językiem polskim w mowie i piśmie. W stosunku do polskich nauczycieli był zawsze uprzejmy i sprawiedliwy.

W latach 1900–1912 był proboszczem w Międzychodzie, gdzie miał wielu parafian Polaków. Pozostawił po sobie wśród nich dobrą pamięć.

* * * *

Szkoła nasza rozwijała się jak najlepiej. Dzieci uczyły się dobrze. Oczywiście nawet najstarsze roczniki w wieku 13 i 14 lat musiały rozpocząć naukę języka polskiego od elementarza.

Kiedy stanąłem do tej zaszczytnej pracy nauczycielskiej w szkolnictwie polskim za granicą, miałem 26 lat, a za sobą sześćoletnią pracę nauczycielską. Mimo, że z seminarium nauczycielskiego w Lesznie Wlkp., które ukończyłem w 1923 r. wyniosłem jak najlepsze wiadomości metodyczne – okazało się, że rady i wskazówki, jakie dawał nam lubiany przez uczniów wychowawca i dyrektor seminarium Jan Wowczak, wiele w pracy mi pomogły. Przecież nikomu nie przyszło do głowy, że kiedyś będzie pracował w szkolnictwie w Niemczech. Tu trzeba było samemu znaleźć najwłaściwszą metodę. Przecież tych kilka szkół polskich na Babimojszczyźnie to tylko wysepka otoczona morzem Niemców, którzy pragnęli bankructwa polskiej szkoły, którzy wszelkimi sposobami utrudniali pracę nauczycielowi. Warunki pracy pogorszyły się, kiedy odwołano Schulrata Loge'go, a na jego miejsce Oberpräsident von Bülow – zamianował osławionego Strukatą. Pochodził on z Märkisch Friedland. Mówiono o nim, że to renegat, ale czegoś dokładniejszego o jego pochodzeniu nie mogłem się dowiedzieć.

Schulrat Strukat przyjeżdżał do szkoły bardzo często. Wprawdzie jego wizytacje nie były zbyt długie, ale w widoczny sposób usiłował on przychwycić na czymś nauczyciela polskiego, by później z zadowoleniem i dumą donieść o tym do Oberpolizeipräsidentium w Pile. W polskim nauczycielu i polskim dziecku widział on zawsze wroga. Wobec takiego stanu rzeczy, trzeba było mieć głowę na karku i z zimną krwią realizować swój plan.

Według instrukcji ze Związku Polskich Towarzystw Szkolnych należało przy ewentualnych zapytaniach ze strony władz niemieckich oświadczyć, że „unsere Aufgabe ist die Kinder der polnischen Minderheitsschulen zu lojalen Staatsbürger zu erziehen” („naszym zadaniem jest dzieci polskich szkół wychować na lojalnych obywateli państwa”).

Schulrat Strukat rzucał czasem dzieciom pozornie banalne, ale podchwytliwe pytania. Moje kochane dzieci, nawet te najmłodsze, umiały dać pierwszorzędną odpowiedź. Padały nieraz takie pytania:

„Was sei ihr denn Kinder eigentlich?” (Kim wy właściwie jesteście, dzieci?).

Dzieci odpowiadały: „Wir sind Polen” (Jesteśmy Polakami).

„Wozu erzieht euch eurer Lehrer?” (Jak wychowuje was wasz nauczyciel?)

„Zu lojalen Staatsbürger”. (Na lojalnych obywateli).

Niemcy marzyli o tym, aby dzieci przez swe wypowiedzi skompromitowały i zdradziły nauczyciela. Skutek był taki, że swymi bzdurnymi pytaniami ośmieszali się oni w oczach nauczyciela, a nawet starszej dziatwy. Gdyby udało się nauczyciela skompromitować – wydalono by go z granic państwa jako „Lästiger Ausländer” (uciążliwy cudzoziemiec).

Za dobrze znałem duszę Prusaków, ukończyłem preparandę w Międzyrzeczu (Königl.-Preussische Präparanden Anstalt), by się dać złapać. Dzięki temu mogłem wytrwać w Wielkich Podmoklach 7 lat.

. . .

Krótko omówię organizację szkolnictwa. Szkoła w Podmoklach była szkołą pięcioddziałową. Obowiązek nauki trwał 8 lat. Szkoły takie nazywano jednoklasówkami. Od rana do godziny 10 uczęszczały przeważnie dzieci z tzw. Oberstufe, czyli I i II oddziału, od 10 do 12 trwała nauka dla Mittelstufe oddziału III, a od 11 – 13 Grundstufe, czyli oddziałów IV i V stopnie podstawowe. W Niemczech jeszcze do dziś oddział I jest oddziałem najwyższym w przeciwieństwie do nas, gdzie szkoła zaczyna się od klasy I.

Klasy V i IV były klasami jednorocznymi, a klasy III, II i I dwuletnimi. W godzinach od 10–12 miałem przeważnie w jednej izbie szkolnej dzieci z wszystkich pięciu oddziałów, 8 roczników dzieci. Stwarzało to doskonałą sposobność do nauki śpiewu, wychowania fizycznego i rysunku.

Dzieci, które uczyły się pierwszy i drugi rok, obowiązywał tylko język polski. Nauka języka niemieckiego rozpoczynała się dopiero w trzecim roku nauki. Językiem wykładowym był oczywiście język polski. Nauka języka polskiego była najważniejszym przedmiotem, ale na naukę języka niemieckiego musieliśmy kłaść wielki nacisk. Chodziło o to, aby absolwent polskiej szkoły władał swobodnie i płynnie językiem niemieckim. Gdybyśmy wypuszczali ze szkoły uczniów z gorszą znajomością języka niemieckiego, godzilibyśmy w powodzenie i egzystencję szkół polskich. Wnet poznaliby się na tym rodzice, a uczniowie dotkliwie odczuliby braki w zakresie języka niemieckiego w codziennym życiu. Jako obywatele niemieccy zmuszeni byli przecież, czy to w urzędach, czy w sklepach, posługiwać się językiem niemieckim. Nawet mniej zdolne dzieci musiały opanować biegle język niemiecki. Aby ten cel osiągnąć, nauczyciel musiał pracować rzetelnie i z wielkim umiłowaniem. Była to praca nader trudna. A czy łatwa była ona dla wychowanków? Oj, nie! Musiało się ją wykonywać wyłącznie w urzędowych godzinach nauki. Nie praktykowano żadnych zajęć pozalekcyjnych, nie prowadzono kółek zainteresowań. Instrukcja podkreślała ponadto, żeby dzieci nie obarczać zbytnio pracą domową.

Oprócz normalnej pracy w szkole trzeba było zająć się młodzieżą pozaszkolną. Z końcem października kończyły się prace na roli związane z zasiewami ozimin i wykopkami ziemniaków. W życiu rolników następowało odprężenie, można było cokolwiek odsapnąć. Wieczory stawały się coraz dłuższe, rozpoczynaliśmy pracę kulturalno-oświatową ze starszą młodzieżą. Ponieważ mieszkańcy obu Podmokli tworzyli jedną rodzinę powstało jedno Koło Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej. Zbieraliśmy się raz w jednej, raz w drugiej wiosce w szkole, a pracę podzieliliśmy następująco: Kolega Stanisław Żórawski wygłaszał referaty, kolega Józef Groth (zginął w czasie wojny w obozie koncentracyjnym) zajmował się śpiewem i muzyką, a mnie przypadła organizacja i kierownictwo zespołu amatorskiego. Księgarnie w Poznaniu, Związek Teatrów Ludowych w Poznaniu i Krakowie, wypożyczalnia filmów i kliszy do epidiaskopu w Warszawie sprawnie i szybko załatwiała nasze prośby.

Praca z młodzieżą podmoklańską układała się nadzwyczaj pomyslnie. Kiedy sięgam myślami w tamte czasy, jeszcze dziś podziwiam, jaka to była młodzież. Zbieranie się na próby było kwestią najwyżej 10 minut, przepisywanie ról teatralnych – jakby z bicia trzask; jeden odpisywał za drugim. Jeżeli „Janek” powiedział „Tomkowi” – „przyjdź jutro o godz. 15, już do tego czasu rolę odpiszę” – to nie zawiódł „Tomka”, a Tomek Benigny, czy też Helci. Wszystko szło jak na taśmie. Na słowie tych młodych można było polegać jak na Zawiszy. Jeśli ojciec wiedział, że syn będzie występował, to wyręczał go często w jego pracy, aby mógł w porę odpisać swoją rolę, czy iść na próbę.

– Ja za ciebie konie odpasę!

– Ja za ciebie dziś krowy wydoję! – jeno pisz, byś na czas skończyła.

Taka atmosfera panowała w okresie mej bytności wśród naszego pracowitego ludu w Podmoklach.

Jaka była frekwencja na zebraniach?

Prawie zawsze stuprocentowa. Nawet choroba nie stanowiła nieraz przeszkody.

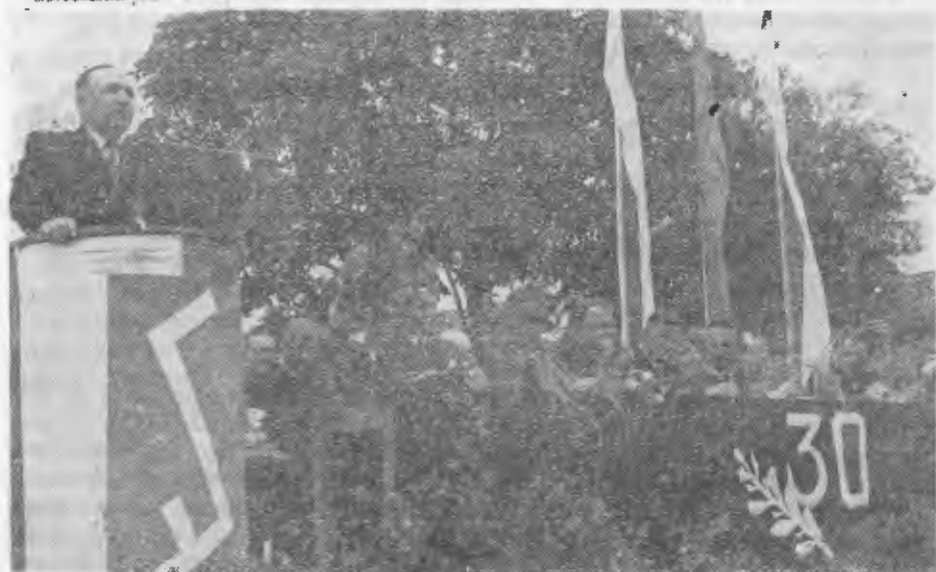
Od zimy 1930–31 mieliśmy osobny lokal, prawdziwą świetlicę w domu Stanisława Brychcego, członka Rady Szkolnej w Małych Podmoklach. On to pierwszy oddał swe mieszkanie dla nauczycieli szkoły polskiej – Br. Wojnarowskiego i Edmunda Styp-Rekowskiego. Jeszcze na kilka lat przed otwarciem szkół polskich niemiecki Sąd Okręgowy w Kwidzynie skazał go na 3 miesiące więzienia za sprawę polską. Najmłodszy jego syn Witold zginął bohaterską śmiercią w czerwcu 1944, w czasie lądowania wojsk alianckich we Francji. Był lotnikiem polskim w Anglii.

Kto pomagał polskiemu nauczycielowi w trudnej pracy z młodzieżą pozaszkolną? Można rzec, że wszyscy zacni rodzice, członkowie Zarządu Koła Młodzieży i Towarzystwa Robotników. Co roku dawaliśmy dwa większe przedstawienia amatorskie: jedno z ramienia Koła Młodzieży Polskiej, drugie Towarzystwa Robotników Polskich w Małych Podmoklach Jan Szymański pracował ciężko jako murarz, ale wieczory i resztę swych sił poświęcał pracy kulturalnej w obu towarzystwach. Jego częsta obecność na

Fragmenty pamiętnika



Dzieci ze szkoły w Podmoklach Wielkich z kierownikiem Stanisławem Knakiem (31.8. 1929 r.)



Stanisław Knak przemawia na obchodzie 30-lecia Szkolnictwa Polskiego w Niemczech
– dnia 14. 6. 1959 r. – w Nowym Kramsku

próbach i w świetlicy działała mobilizująco na młodzież. Kto wie, czy niezmordowana pomoc Sylwestra Groszka, człowieka z oryginalnym sumiasnym wąsem, nie przyczyniła się do powodzenia naszych imprez? Był synem wielkiego wiarusa, który dwóch innych synów ofiarował Polsce w roku 1919 w czasie powstania o wolność Ziemi Babimojskiej i Zbąskiej. Ileż to on najeździł się i nachodził, aby pozatławić sprawy związane z przedstawieniami.

Ze Złotowa przyjeżdżał do nas z radą i pomocą Henryk Jaroszyk, instruktor kulturalno-oświatowy wszystkich organizacji młodzieżowych w Dzielnicy V, a do Przynależenia Rolniczego młodzieży – Antoni Dorsz, który sumiennie traktował swój obowiązek. Opiekowałem się wówczas Przynależeniem Rolniczym w Wielkich Podmoklach. Wyniki naszych konkursów na poletkach doświadczalnych były wprost niebywałe. I tak na przykład Władysław Wołek sprzątnął pewnego roku ze swego 100 m² liczącego poletka 96 kg kukurydzy, co dałoby plon z 1 ha 96 q. Feliks Trocholepszny zbierał ze swego poletka buraki pastewne (Eckendorfa) wagi po 19 kg sztuka. Rekord światowy upraw w Meklemburgii wynosił 21 kg. Rolnicy w Podmoklach zdawali sobie jasno sprawę, że do grobowej deski trzeba się uczyć. Sprowadzałem więc do świetlicy książki i fachowe czasopisma rolnicze, wymowniejsi gospodarze z Kółka Rolniczego wygłaszali referaty. Trwała żywa dyskusja na zebraniach, przyjeżdżali specjaliści, urządzaliśmy wycieczki na Targi Poznańskie, gościliśmy u siebie brać rolniczą z ojczyzny, najczęściej z powiatu wolsztyńskiego i nowotomyskiego. Wyjeżdżaliśmy też do Polski, do Kółek Rolniczych w Wielkopolsce. Byliśmy w którymś roku na Dożynkach w Buku. W każdym zebraniu Kółka Rolniczego uczestniczyłem i na ile mnie było stać pomagałem w jego pracach, służyłem radą i wskazówkami.

Oceniając sytuację w Podmoklach można śmiało powiedzieć że:

1. Poziom nauki i wychowania w naszych szkołach był znacznie wyższy niż w niemieckich,
2. Młodzież polska o niebo przewyższała swych rówieśników Niemców,
3. Rolnicy, jeśli nie przewyższali swymi umiejętnościami gospodarzy niemieckich, to absolutnie im nie ustępowali.

* * *

Jak wyglądał przeciętny dzień pracy nauczyciela?

Mam tu na myśli siebie samego. Nauka w szkole trwała od 8 do 13. Porządkowanie dzienników i pomocy 20 minut. Obiad 13.30–14.00. Nauka wprowadzie tylko pięciogodzinna, ale tak wyczerpywała, że, aby móc zimą pracować wieczorami z młodzieżą 4–5 godzin, trzeba było po obiedzie odpocząć godzinę, chociaż nie byłem ułomkiem, przeciwnie, człowiekiem o silnej konstrukcji fizycznej. Od godz. 16–19 zimą, a w lecie od 16 do wieczora przygotowywałem się na lekcje w dniu następnym, załatwiałem korespondencję urzędową oraz sprawy osobiste. O 19 rozpoczynała się praca w świetlicy. Musiałem jeszcze znaleźć czas na czytanie gazet i słu-

chanie radia. Jeśli chodzi o pracę należało przecież orientować się nie tylko w prasie polskiej, ale i niemieckiej.

Młodzież w Podmoklach była inteligentna. Nauczyciel w tej sytuacji musiał znać na wylot szereg zagadnień, które interesowały młodzież. Podmoklscy chłopcy interesowali się nie tylko Żwirką, Wigurą, Bajaniem, Kusocińskim, Kiepurą, Nowowiejskim, Paderewskim, ale podróżą „Daru Pomorza” naokoło świata, laureatami Nobla, rozwojem naszej Gdyni, najciekawszymi filmami świata, ich twórcami i aktorami. Sienkiewicza, Mickiewicza, Morcinka i innych pisarzy młodzież znała doskonale. A ileż to jeszcze innych zagadnień, które żywo obchodziły młodzież z Podmokli musiałbym wymienić? Nie zapomnijmy przy tym, że była to przecież młodzież od pługa, młota, dłuta i kielni.

Choć tak szeroki był wachlarz zainteresowań młodzieży, nie zaniedbywała ona swoich podstawowych prac. Pracujący na roli wcześniej rano wstawali. Wiosną i jesienią konie były przy wozach czy maszynach o godz. 7. W lecie, rano o godz. 6, jak na komendę niemal, otwierały się wrota każdego podwórza i w całej wsi słychać było turkot jadących maszyn, żniwiarek, snopowięzalek i grabiarek. Początkowo zastanawiała mnie ta punktualność. Wstawiałem o 6 i obserwowałem ruch we wsi. W ciągu pięciu minut pustoszały podwórza, wszyscy wyruszyli do pracy w pole. We wsi stwierdziłem tylko dwóch „bumelantów”. Wyjeżdżali do pracy dopiero o 6.20–6.30.

Moja gospodyni Maria Wołkowa wyjaśniła mi kiedyś:

„Wie pan, u nas to już zawsze tak było”.

W sobotę po obiedzie, starsze kobiety, dzieci, a nieraz i mężczyźni z miotłami, szufelkami, grabkami i koszykami porządkowali ulicę, drogę we wsi, każdy na szerokości swego podwórza. Podwórze i ulice, jak wieś długa, były na niedzielę tak czyste, że nawet słomki nie znalazłeś. Nawet na codzień gdy z chlewa zrzucano siano dla bydła, uprzątno resztki miotłką. Zawsze było schludnie na podwórzu.

W Dąbrówce, której zwyczajnie miałem okazję poznać, było podobnie. Rolnicy wstawali do pracy z pianiem koguta, ale za to gdzieś około godz. 18 – 19 wszyscy już wypoczywali, nawet w okresie żniw i najgorętszych prac. Choć słońce o tej porze stało jeszcze wysoko i ktoś sądziłby, że do jego zachodu wiele można jeszcze zrobić – dąbrowieccy gospodarze kończyli już o tej porze robotę i pasenie bydła, by na schyłku dnia umyć, uczesać, w czystej koszuli, w „laczkach”, z cygarem w ustach – odpocząć, na ławce przed domem.

Każdego nauczyciela polskiego w takim środowisku ogarniał zapał do pracy, entuzjizm. Pensją wynosząca 285 mk miesięcznie zapewniała każdemu z kolegów spokojne życie. Nikt z nas nie potrzebował szukać pobocznych dochodów. Owa pensja stanowiła ekwiwalent za pracę w szkole. Nasza praca społeczna i kulturalno-oświatowa wymagały niemniej czasu, energii, trudu, aniżeli praca w szkole, ale nikt z nauczycieli w ogóle nie wpadł na myśl, by żądać za nią specjalnego wynagrodzenia.

Świadomi swego obowiązku nauczyciele dokładnie wiedzieli do czego są powołani. Nic dziwnego, że w krótkim okresie istnienia szkół polskich nazwano ich ambasadorami polskości.

Początkowo prawie wszyscy nauczyciele rekrutowali się z kraju, z Polski. Ani jeden z nich na przestrzeni tych dziesięciu lat nie ugiął się mimo częstych gróźb, szykan i doznanych cierpień, ani jeden nie zawiódł i nie zdradził sprawy polskiej. To byli granitowi ludzie.

Po kilkuletnim istnieniu szkolnictwa zatrudniano także nauczycieli kończących niemieckie licea, względnie akademie pedagogiczne. Spośród nich bardzo nikły odsetek porzucił pracę w naszych szkołach i przeszedł do szkolnictwa niemieckiego. Do bardzo sporadycznych wypadków należało, by wśród nauczycieli znaleźli się ludzie mało odważni, rozmawiający w środowiskach czysto niemieckich po niemiecku. Niektórzy niepotrzebnie stosowali Hitlergruss w pierwszych latach panowania Hitlera, kiedy jeszcze nie było w tej sprawie żadnych zarządzeń.

* * *

Scharakteryzowałem dźiatwę i młodzież oraz starszą generację. Chcę jeszcze dla uzupełnienia obrazu pokazać mieszkańców Podmokli przy zabawie. Brałem udział w każdej nieomal zabawie i proszono mnie na każde wesele. Zabawy odbywały się w miejscowych oberżach (u Dachwitza i Rau'a), w okresie chłodnych miesięcy. Zabaw tych nie urządzano tyle, co dziś.

Mimo, że w Wielkich Podmoklach „gościnnym” był Niemiec Rau, obsługa odbywała się w języku polskim. Córka oberżysty Elza mówiła płynnie po polsku i z przyjemnością tańczyła naszego krakowiaka i inne ogniste tańce polskie. Przygrywali nam nasi dudziarze, przeważnie niezmordowany muzykant wiejski z Wielkiej Dąbrówki Budyh i Białeckiej z synami z Małych Podmokli. „Kozieł”, klarnet i skrzypce – stanowiły kapelę ludową na Babimojszczyźnie.

W pierwszym roku mej pracy wspomniane zabawy ludowe urozmaicane były niekiedy bijatykami. Kilku mącicieli uważało, że wywołać awanturę to bohaterstwo. Oprócz młodzieży w zabawach uczestniczyli starsi wiekiem, poważni obywatele. Skoro tylko znalazł się taki bohater, musiał się uspokoić, albo opuścić lokal. Podmoklan cechowało wielkie uszanowanie dla sędziwego wieku i bywało, że owi niesforni „zawiani” młodzieniaszkowie ze łzami prosili:

– Wuja, ja już będę spokojny, tylko mnie nie wyrzucajcie. Tego wstydzili się najbardziej. Tak dźiatwa, jak i młodzież nie tytułowała starszych inaczej jak „wuj” i „ciotko”, co stanowiło wyraz szacunku dla nich.

Po mniej więcej roku pracy nauczycieli polskich na Babimojszczyźnie te awanturnicze jednostki wciągnięte przez nas do pracy społecznej uspokoiły się i mogę sumiennie stwierdzić, że przez całe dalsze lata mego pobytu w Podmoklach wszelkie zabawy były przyjemne, wesołe i bez awantur.

Podstawowym posiłkiem mężczyzn była kiełbasa i piwo. Rycerska młodzież męska zaopatrywała dziewczęta w czekoladę i napoje chłodzące. Skoro mowa o kiełbasie, koniecznie wypada zdradzić, że producentem jej był Jan Janeczek i jego małżonka Emilia.

Na zabawę przychodziły nawet starszki i starcy popatrzeć chociaż przez chwilę, jak bawi się młodzież. Przy takich okazjach odwiedzali Podmokle również mieszkańcy okolicznych wiosek.

Urządzano zwykle duże zabawy letnie. Pierwsza, to „Majówka” organizowana przez młodzież. Odbywały się one na zmianę raz w Wielkich Podmoklach, przeważnie w ogrodzie Trocholepszego, a w roku następnym w Małych Podmoklach w ogrodzie Dachwitza. Na zabawach przygrywała wspaniała młodzieżowa orkiestra dęta z Wielkiej Dąbrówki pod batutą nauczyciela Jana Mazy (zamordowanego w czasie wojny w Hafenbruch). Zabawę rozpoczynały tradycyjne pochody przez obie wioski, ustrojone bogato girlandami.

Drugą imprezę stanowiła zabawa letnia dla dziatwy szkolnej w czerwcu. Był to prawdziwy „Dzień Dziecka”. Na czele pochodu kroczyły odświętnie ubrane dzieci, nauczyciele, Rada Szkolna a dalej młodzież i starsza generacja. Na przedzie niesiono sztandar Związków Polaków – Rodło na tle barw narodowych. Wiadomo, że Rodło oznacza bieg Wisły. Złośliwi Niemcy berlińscy, gdy dowiedzieli się skąd powstało Rodło – nazwali douczliwie Polaków „Weichselbrüder” (dosł. braciszkwowie Wisły).

Miejscem zabawy był zawsze plac sportowy w Wielkich Podmoklach, tuż przy torze Babimost – Zbąszynek.

Na część oficjalną programu zabawy składały się krótkie przemówienia, deklamacje i śpiewy. Prawdziwą radość sprawiały rodzicom występy ich dzieci. Po części oficjalnej następowała urozmaicona część rozrywkowa. Do dziś dnia podziwiam sprawność organizacyjną młodzieży i dziewcząt. Plac zabawy stanowiło zwykle boisko. Trzeba było je upiększyć i przygotować do zabawy. Wystarczyło powiedzieć naszym chłopakom kilka słów, a wiedzieliśmy, że nas nie zawiodą. Dwa wieczory przed zabawą rozpoczynała się gorączkowa praca. Przychodzili wszyscy; ten grabkami równał dołki, ten zabijał kołki, trzeci, czwarty przybijał deski, inni budowali prowizoryczne stoły i ławy, odgradzali plac drutem, dziewczęta ozdabiały plac kolorowymi wstęgami. Gdy w czasie zabawy nadeszła chwila podwieczorku dla dzieci, podziwiałem dziewczęta. Jak iskierki uwijały się, obsługując dzieci szkolne. Jedne nosiły placki, inne kiełbaski, kawę. Schludnie, zgrabnie, prędko. Ciekawi Niemcy wybałuszali oczy na taką organizację. Gdzieś około 18 tańczono tradycyjnego poloneza, po czym dzieci z lampionami wracały w pochodzie z orkiestrą do wioski. Dorośli pozostawali na dalszą zabawę.

Tak było przed trzydziestu laty w Podmoklach. Polacy tworzyli jedną rodzinę, w której panuje jedność i zgoda. Nie darmo ludowy poeta – autochton Michał Kajka w „Nowym poemacie dla młodzieży polskiej” powiedział:

„Lecz kto w cnocie postępuje
Tego nawet wróg szanuje”.

Na zabawach było zawsze wesoło. Starsi swoim humorem urozmaicali zabawę, że wspomnę Andrzeja Wojtkę (powszechnie zwano go „Stary Luta” i Mikołaja Heppla „Sztakiel”). Ile werwy okazywali oni podczas wesołych przyspiewek i tańców! Młodzież śpiewała w przerwach między tańcami. Nieraz śpiewała cała sala.

Każda zabawa ma swój koniec. Gdy nadeszła godzina 1–2 w nocy, orkiestra grała „Wszystkie nasze dzienne sprawy...” co stanowiło sygnał, aby rozejść się do domów. Zabawy odbywały się zawsze w niedzielę, a w poniedziałek każdy normalnie punktualnie wstawał do pracy.

Wiele radosnych chwil przeżywały dzieci na tzw. „choince” urządzonej przez szkołę w okresie Bożego Narodzenia. Na program choinki składały się dwa przemówienia: jednego z członków Rady Szkolnej i moje, pieśni, deklamacje i „Jasełka”. Pod koniec zjawiał się „Gwiazdor”. Hojną ręką obdarzał dzieci z przedszkola i szkoły, młodzież i rodziców.

Pragnę, gdy mówię o zabawach, poświęcić nieco miejsca obyczajom weselnym w Podmoklach. Mieszkańcy tej wsi urządzali wesela przeważnie od października do kwietnia. W miesiącach letnich nie było na to czasu, bo przecież uroczystość weselna trwała od 2 do 4 dni. Kiedy narzeczeni i rodzice doszli do porozumienia i wyznaczyli termin ślubu, młoda para osobiście, ustnie zapraszała gości. Nie stosowano pisemnych zaproszeń. Narzeczonych podejmowano poczęstunkiem, co przedłużało czas trwania zaproszeń. W przededniu wesela odbywał się tzw. „Polterabend”. Chłopcy trzaskali i rozbijali stare garnki, naczynia i rzucali inne zbędne graty. Matka weselna wychodziła przed dom, częstowała zebranych plackiem, papierosami, winem, ci następnie grzecznie odchodzili do domów.

Nazajutrz od rana prawie w całej wsi panował niebywały ruch i zdernerowanie. Do domu weselnego zjeżdżali najpierw drużbowie, ubrani w czarne odświętne stroje z różowymi wstęgami przy ramieniu. Powózki piękne, piękne konie, ustrojone w kokardy, popędzano batem ozdobionym również kolorowymi wstążkami. Drużbowie zwozili swoje partnerki – drużby a potem gości weselnych. Na koniec drużbowie wyjeżdżali po Pana Młodego. Wszystko to odbywało się radośnie, ale Młodego Pana kawalerka wiozła z powagą i namaszczaniem. Siedział on uroczyście z odkrytą głową na powózce, otoczony swoimi drużbami – przyjaciółmi. Zwożenie gości trwało dość długo, a cała wieś obserwowała w tym czasie zza płotów przejeżdżające bryczki, gości weselnych i pokrzykujących drużbów, wywijających butelkami wina. Dla Podmokla była to zawsze sensacja i radość nielada.

Rodzice weselni podejmowali zebranych śniadaniem. Na podwórzu formowały się powózki do odjazdu do kościoła. Przed wyjazdem do ślubu matki i ojcowie obojga młodych udzielali im błogosławieństwa. Młodzi jechali do kościoła ostatnią powózką, a wracali pierwszą. Od chwili powrotu kapela ludowa (Budyń, Białęcycy) wygrywała, ile jej tylko sił starczyło.

W ciągu siedmiu lat uczestniczyłem chyba w 50 weselach. Zapraszano na nie zawsze wszystkich nauczycieli z obu Podmokli. W ostatnich kilku latach, uczestniczyłem w weselach razem z kolegami Zórawskim i Grothem z Podmokli Małych. Z niedowierzaniem patrzyliśmy na stopy mięsiva, wędlin, pieczywa, piwa, wina i innych wiktuałów. Po sutym obiedzie, kawie podwieczorkowej czy bogatej kolacji, na okrzyk ojca weselnego: „Družba, gdzie twoja służba!” wnoszono stoły pod szopy w podwórzu. Pozostawały krzesła i ławki. Następował taniec za tańcem, każdy z nich inny. Tańczył kto żyw i starzy i młodzi. Z grajków lał się pot, jak w najgorętsze żniwa. A te wesołe okrzyki tancerzy – oj wesółko! oj nasze! Ciach! Po nich następowała nagle przerwa. Ktoś z doświadczonych weselników stawał ze swoją druhną przed starym kapelmistrzem Budychem albo Brudłą i intonował inną piosenkę. W mig podchwytywał ją kapelmistrz i koźlarz. Potem znowu melodia inna i inna.

Ktokolwiek, kto nie widział tego nigdy w życiu i nagle stanąłby w kole tych rozbawionych weselników, zdziwiłby się mocno i powiedział: „Boże co tu się dzieje!”

Tak bawiono się w Podmoklach na weselach przed laty trzydziestu. Było wesoło, był i porządek. Młodzi ustępowali starszym, grzecznie odnosił się jeden do drugiego, nikt nikogo nie trącił, najsztynniejsze nogi szybko nauczyły się tańczyć. Kiedy družbom zrobiło się ciepło, ściągali marynarki i tańczyli w „kabatkach” – ozdobnych kamizelkach. Po każdym prawie tańcu družbowie i kucharki roznosili smaczne kanapki i ciasteczka, wino, piwo, lemoniadę i wódkę. Rozochoceni byli nieomal wszyscy goście, ale pijanych nigdy nie widziałem na polskich weselach w Podmoklach. Na każdym weselu było kilka kobiet ubranych w tutejszy strój ludowy. Głowę zdobiła piękna „kopa”. Był to biały czepiec haftowany ręcznie, przetykany niebieską wstążką, do tego piękna, długa spódnica i śliczny haftowany fartuszek. Dawniej wszystkie niewiasty taki strój nosiły odświętnie.

Urozmaicenie na weselach stanowiły „wiwaty”. Ile krzyku, śmiechu i humoru z nimi się wiązało. Jeden z wiwatów brzmiał: „Prosili mnie na wesele, na wesele – dali mi kapusty...” Wiwaty dawały okazję do poczęstunku. Sąsiadki, pełniące na weselu funkcje kucharek, szanował każdy z gości. Co pewien czas družba zapowiadała: „Osobny kawatek dla kucharek”. Wieczorem aż do późnych godzin nocnych dom weselny oblepiony był ludźmi z całej wsi. Mówiono powszechnie, że czym więcej ludzi, tym ładniejsze wesele, a jak nie ma ludzi pod oknami – to żadne wesele. Każdy ojciec weselny dbał bardzo o widzów pod oknami: co pewien czas zapowiadał: „Osobny kawatek dla komory”, bo tak mówiono na ludzi z sieni i spod okien.

Goście weselni prosili też do tańca swych znajomych spod okien. Podczas tańca otrzymywali oni poczęstunek. Na weselach śpiewano mnóstwo piosenek, nie liczyłem ich, ale słyszałem ich chyba ze sto. Takiego bogactwa pieśni nigdzie w życiu nie spotkałem. Dziś jeszcze, po

kilkudziesięciu latach „mam w pamięci różne ciekawe postacie weselników. Taki Paweł Piwecki lubił śpiewać na weselu:

„Gdzie są moje kare konie,
Gdzie są moje lice (lejce)
Tam jest moja ulubiona
Tam jest moje dziecię”

Feliks Gaertner stanąwszy przed koźlarzem śpiewał:

„Skędy jedziesz Jasiu
Jadę ja z kiermaszu
Dałabym ci gemby
Ale ni mam czasu...”

Wielu z tych śpiewaków już nie żyje, ale słyszę do dziś niektóre z najbardziej znanych piosenek jak:

„Kazała mi moja matka czarną suknię szyć
A ja wcale nie myślałam zakonnica być”

albo:

„Na kramskim kalisku pływają labędzie
Z naszego kochania pewnie nic nie będzie”

albo:

„Zalecał mi się podmokliński chłopiec”

albo:

„Przyprostynia wielka wieś
Dziewki chleba nie chcą jeść”.

Niejeden z czytelników z niedowierzaniem powie: „A ktoby tam wytrzymał na zabawie weselnej 3–4 dni!” Zaraz tę sprawę wyjaśnię: W pierwszy dzień wesela zabawa trwała do godz. 3–4 rano. Po bogatym posiłku około 2 w nocy, tzw. „podkurku”, na który składały się gorące kielbaski, galart z cielęciny, sałatki i inne potrawy, tańczono najdłużej do godz. 4 rano. Potem życzo sobie dobrej nocy i pieszo rozchodzono się do domu. Ludzie wyspali się, wypoczęli, zmienili bieliznę i około południa rozpoczynał się na nowo ruch, hałas, muzyka, śpiewy, radość. Drużbowie znów byli przy swej służbie, bo goście zjeżdżali na dalszy ciąg wesela. Druhny zjawiały się każdego dnia w innej garderobie. Ludność gapiła się na ulicach obu Podmokli, bo taki zwyczaj ludowy. Zwożenie gości na obiad przez drużbów było zawsze swojego rodzaju atrakcją.

Zabawa w drugim dniu wesela była o wiele przyjemniejsza i radośniejsza, gdyż wszyscy się już dobrze znali. O ile wesele trwało 3 dni, to i w drugim nie tańczono dłużej, niż do 4. W ostatnim dniu wesela bawiono się dłużej, do jasnego dnia, a czasem do późnego rana.

Staruszkowie, których poznałem w Podmoklach, opowiadali, że za czasów ich młodości uroczystości weselne trwały cały tydzień. Goście weselni przynosili prowiant z domu, by pomóc rodzicom weselnym w wyżywieniu licznej nieraz gromady gości.

Jeszcze dziś, nie tylko w Podmoklach, pozostał zwyczaj, że przed weselem sąsiedzi i mieszkańcy wsi przesyłają w prezencie do domu weselnego masło, jajka i inne wiktuały.

Te wszystkie miłe i przyjemne zwyczaje przyczyniały się do zachowania polskości i wytrwania w walce z falami germanizacji.

* * *

Przypominam sobie przygodę na jednej z lekcji historii. Było to mniej więcej w roku 1931. Zaznaczam, że wolno nam było uczyć tylko historii Niemiec. Podręcznik obowiązywał ten sam, co w szkołach niemieckich, a autorem jego był prof. Nehring. Temat lekcji brzmiał: „Wschodni sąsiad Niemiec”.

Kończyłem właśnie wykłady, kiedy usłyszałem pukanie. Wszedł radca szkolny Strukat. Z lisią uprzejmością przywitał się ze mną. Podałem mu krzesło i na jego żądanie zacząłem pytać uczniów.

- Kto mieszkał na prawym brzegu Łaby? – pytam. Dzieci odpowiedziały:
- Słowianie. Widziałem, jak Schulrat niecierpliwie kręcił się na krześle.
- Pokażcie mi miasto Brandenburg an der Havel!
- Kto zbudował Brandenburg an der Havel?

Dzieci odpowiedziały: „Brandenburg an der Havel ist durch die Slaven gegründet worden, da die Slaven liebten gern in Städten zu wohnen”.

W miarę odpowiedzi rosła niecierpliwość Strukata, a kiedy lekcja się skończyła, wybuchnął na mnie:

„Panie, przecież pan tu wyklada historię Polski”. (Polnische Geschichte). Odpowiedziałem mu, że myli się, ponieważ ucze tylko historii Niemiec. Myślałem, że go krew zaleje, albo się wścieknie. Zanim zdążył coś powiedzieć, ciągnąłem dalej: Proszę, tutaj jest podręcznik Nehringa, niech pan spojrzy.

„Brandenburg a. d. Havel ist durch Slaven errichtet worden da die Slaven liebten gern in Städten zu wohnen”. Inspektor zdębiał, zasapał się ze złości, powiedział: „Auf Wiedersehen” i uciekł do niemieckiej szkoły, do renegata Wusowskiego.

Strukat przyjeżdżając do Podmokli, nigdy nie przychodził od razu do polskiej szkoły, mimo że koło niej przejeżdżał. Renegat Wusowski, szpicel i denuncjator, dostarczał mu wprawdzie informacji o polskiej szkole i polskim nauczycielu.

Ile nocy nie spał Strukat po tym zdarzeniu, nie wiem, ale ta lekcja historii musiała go bardzo dreczyć, bo opisał mnie w tygodniku „Ostlandbote”, polakożerczej gazecie. Wyraził się tam, że „Der polnische Lehrer behauptet, dass Brandenburg an der Havel Polen gegründet haben”. Szkoda, że zgubiłem tę gazetkę w czasie wojny. Mimo tego artykułu nie spotkała mnie żadna kara, gdyż prawdę historyczną udowodniłem niemieckim podręcznikiem prof. Nehringa.

Jak wyglądałbym, gdybym skapitulował. Na pewno odebranoby mi zezwolenie na nauczanie i zmuszono do powrotu do kraju. Dzięki zdecydowanej postawie wytrzymałem na posterunku 7 lat i odszedłem, gdy nadszedł „narybek” młodych nauczycieli, już obywateli niemieckich, którzy w Polsce w seminarium nauczycielskim w Rogoźnie zdobyli kwalifikacje do nauczania.

Na marginesie dodam, że podręcznik Nehringa, obiektywnego i bezstronnego uczonego niemieckiego utrzymał się w szkołach tylko do stycznia 1933 r., to znaczy do momentu objęcia władzy w Niemczech przez Hitlera. Podstawą nauczania historii w późniejszym czasie stały się broszurki wydawane przez partię hitlerowską (NSDAP), sprzedawane po 10 fenigów, które zawierały tylko historię partii i naukę o rasach. Mieszkańców Gross-Deutschland dzielono tam na 6 grup. Szósta ostatnia grupa zwana „Ostbaltische Rasse” – obejmowała Słowian i Polaków. Ten typ ludzi określano jako krnąbrnych leniuchów, mało uzdolnionych, fałszywych, skłonnych do bijatyk i kradzieży, do mordów i lubiących się kąpać we krwi.

Historia II wojny światowej okazała, kto był największym złodziejem mienia innych narodów i największym mordercą bezbronnych ludzi i tyranem w podbitej Europie. W systematyce rasistowskiej Hitler należał do II grupy, do Dinarische Rasse – przepięknej, scharakteryzowanej w rasistowskiej klasyfikacji nazistów. A wspomnijmy tylko Majdanek i Oświęcim!

* * *

Było to w grudniu 1932 lub 1933 r. Dzieci wychodziły do domu po skończonej nauce. Wyprowadziłem je na drogę, upominając, aby przez wieś szły grzecznie. Za chwilę wróciłem do klasy i zamierzałem iść do domu na obiad, kiedy wszedł inspektor szkolny Strukat. Zażądał listy obecności uczniów i zaczął w niej czegoś szukać. Wreszcie powiada:

„Pan daje dzieciom za wiele urlopów!”.

Zaprzeczyłem i zaproponowałem przejrzanie listy obecności. Większość dzieci nie korzystała z urlopu, kilka opuściło 1 dzień, a zaledwie dwoje dzieci po 2 dni. Schulrat zrobił sobie dokładne zestawienie z datami. Oświadczyłem mu, że zwalniam uczniów tylko w wypadku istotnej potrzeby i mam prawo zwolnić ucznia sam nawet do 3 dni w miesiącu. Uczyniłem przy tym wymówkę, że na pewno polski inspektor podczas wizytacji w niemieckiej szkole w Polsce nie odniesie się do nauczyciela w sposób, jaki on to czyni. Wówczas Schulrat wpadł w furję i stwierdził, że ma dowody, jakoby uprawiał „kupowanie dusz” – Seelenkauf. Z doświadczenia wiedziałem, że w tym wypadku wygram tylko nieugiętą, zdecydowaną postawą. Z największą przeto powagą i stanowczością oświadczyłem:

„Panie Schulrat, tak poważny zarzut musi pan udowodnić faktami!”.

Na to odrzekł on, że zaraz to uczyni, ale muszę chwilę poczekać. Wyszedł i udał się do renegata Wusowskiego. Po dłuższej chwili powrócił wreszcie z niemieckiej szkoły.

– Ile razy dawał pan urlop Johanowi Frąckowi?

„Tyle, ile zaznaczono w liście obecności”.

– Ja udowodnię panu, że uczeń Johann Frącek otrzymał urlop 16. X. br. Chyba pan pamięta, jak to wracał on z lasu z drzewem, a handlarze koło oberży Raua zatrzymali go, wyprzęgli konie i uciekli do Babimostu?

– Ten wypadek pamiętam, ale czy było to 16. X. nie wiem.

– Tak, widzi pan, to było dokładnie 16 października.

– W takim razie skontrolujemy listę obecności.

Otworzyłem spis i o dziwo: – Ma pan rację, panie Schulrat, 16. X. uczeń Frącek otrzymał ode mnie urlop.

Schulrat stracił rezon, bo był przekonany, że ta nieobecność Frącka nie znajdzie potwierdzenia w liście obecności, opuścił ręce, kompletnie zrezygnowany wyciągnął papierośnicę, częstując mnie papierosem. Czuł się pokonany, mruzczał, zapewne wściekły na Wusowskiego. Wreszcie zdecydował się spisać ze mną jakiś protokół.

Siadł, pocił się, pisał, spisywał z listy obecności każdego ucznia od początku czwartego kwartału. Gdy doszedł do Frącka odezwał się:

– Więc dał pan kilkanaście razy urlop Frąckowi?

Teraz ja wybuchnąłem.

– Waas?

– Ach, panie Knak, niech się pan nie gniewa, nie spotka pana żadna kara, wiem, że nie dał pan Frąckowi urlopu 100 razy, ale wypisałem „mehrere Male”. Zaczął mnie uspakajać.

– Panie Schulrat, może pan pisać, co tylko pan zechce, ale ja tego protokołu nie podpiszę.

Rozłożył się znów i spytał:

– No to ile razy mam napisać?

Mówię mu, że dwa razy, tak jak w liście obecności. Za kilka minut protokół był zakończony.

Przeczytałem go dokładnie i podpisałem. Powiedziałem mu przed rozstaniem przysłowiowe powiedzenie: „Der größte Lump im ganzen Land ist der Denunziant”. Był to przytyk do Wusowskiego. Za kilka dni otrzymałem od Inspektoratu pismo takiej mniej więcej treści: – Poczawszy od natychmiast w każdą sobotę o godzinie 15,30 zjawi się pan u mnie osobiście i przedłoży mi listę obecności uczniów.

Co sobotę musiałem przez blisko 5 miesięcy jeździć 16 km do Kargowej. Często spotykałem u Schulrata komisarza Erbta, kim zaś był Erbt wówczas – wiedział dobrze każdy Polak z powiatu babimojskiego.

Wreszcie Strukat powiedział mi:

– Ponieważ prowadzi pan dobrze listę obecności, od dziś zwalniam pana z tego obowiązku.

Po tej całej aferze opisał mnie znów Schulrat w „Ostlandbote”. Niestety i tego artykułu nie posiadam. Żadna inna kara mnie nie spotkała, tylko dlatego, że niczego mi nie udowodniono. W innym wypadku musiałbym w ciągu 24 godzin opuścić Podmokle.

Niemcy posądzali mnie, że dając wiele urlopów moim uczniom, chcę tym sposobem przypodobać się Polakom i zachęcić ich, aby posyłali swe dzieci do polskiej szkoły. Był to absurd. Niemców denerwowało to, że otwierając szkołę w Podmoklach Wielkich miałem tylko 14 dzieci, a gdy odchodziłem 31. 12. 1935 r. do szkoły polskiej uczęszczało aż 35 dzieci. W niemieckiej szkole u Wusowskiego liczba dzieci spadła w tym czasie do 7. Niemcy pienili się ze złości i propagandą, prośbami i groźbami wpływali na rodziców, aby odebrali dzieci ze szkoły polskiej i posyłali do niemieckiej. W jednym roku akcja ich dała rezultat i straciłem kilku uczniów, ale już po kilku miesiącach te zachwiane „dusze” powróciły do szkoły polskiej.

Wydaje mi się, że o sile przyciągającej szkoły polskiej decydowały: pracowitość nauczycieli w szkole i poza szkołą, atrakcyjnie prowadzone zajęcia, nieugięta postawa nauczyciela.

* * *

Tak jak w kraju – w Polsce – tak i na Babimojszczyźnie kilka szkół tworzyło jeden rejon konferencyjny, z którego nauczyciele 5 razy w roku odbywali wspólne konferencje samokształceniowe.

Jesienią 1932 r. jedna z takich konferencji odbyła się u mnie i z tego tytułu przypadło mi w udziale przeprowadzenie lekcji pokazowej. Temat jej brzmiał: „Regionalizm Wielkich Podmokli”.

Nie będę opisywał przebiegu całej lekcji, której wszyscy wysłuchali z ciekawieniem. Przez kilka tygodni gromadziłem wszelkie pomoce naukowe, piosenki, przysłowia, powiedzonka Podmoklan, legendy, baśnie i najróżnorodniejsze dokumenty – dowody polskości tej ziemi. Ks. dziekan Meissner wypożyczył mi z archiwum kościoła parafialnego w Babimoście oryginalny dokument o założeniu cechu rybackiego w Podmoklach. Pisany on był na świńskiej skórze, nadawał cechowi prawa i przywileje, a podpisał go własnoręcznie Jan Sobieski, król Polski. Na lekcję przyniosłem też tzw. „cechę” dla W. Podmokli, tj. mosiężną tabliczkę z wytłoczonym konturem ryby i datą 1683 i cechę drewnianą w kształcie ryby z datą 1747 z Małych Podmokli. Znajdowały się one w rękach Andrzeja Wojtka i Pawła Janeczka i kiedyś służyły do zawiadamiania o zebraniach cechu (rodzaj kurendy). Wszystkie dzieci i zebrani nauczyciele mieli możliwość zobaczyć te zabytkowe przedmioty. Cech Rybacki powstał przypuszczalnie około

500 lat temu. Pod koniec lekcji wymieniałem nazwiska mieszkańców Podmokli, poległych w walkach powstańczych w 1919 r. wspomniałem też o ekshumacji zmarłego w Sulechowie powstańca, którego zwłoki za staniem konsula w Pile przewieziono do Zbąszynia.

Po lekcji podszedł do mnie dyrektor Mozolewski i rzekł:

- Panie Staszku, dzięki Bogu, że tu nikt z Niemców nie wleciał...
- Niech się pan dyrektor o mnie nie boi, gdyby był ktoś, byłbym zmienił temat. Poza tym kolega Jaskólski baczył, by nie zaskoczyła nas niepożądana wizyta.

* * *

W jesieni 1935 r. złożyłem do Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Berlinie prośbę o wyrażenie zgody na mój powrót do Polski. Miałem wówczas pewne plany życiowe, które wpłynęły na decyzję powrotu. Początkowo wizytator Brasse powiadomił mnie, że mój powrót nie jest na razie aktualny, ale w pierwszych dniach grudnia otrzymałem pismo, że mogę, w dniu 31 grudnia 1935 r. powrócić do Polski, na moją starą posesję.

Po raz ostatni w drugie święto Bożego Narodzenia urządziłem dla dziatwy radosną i serdeczną choinkę. Na zakończenie pożegnać się musiałem z dziećmi i rodzicami. Rzewny to był moment dla dzieci i dla mnie. Obecnych podniosłem na duchu słowami: „Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy”, zacytowanymi na końcu mego pożegnalnego przemówienia.

30 grudnia mieszkańcy Podmokli urządzili dla mnie pożegnanie w domu Kazimierza Michalskiego. Tego dnia w domu Michalskiego było gwaro jak na weselu. Przyszło wielu rodaków i delegacja młodzieży. Zaczęły matki przygotowywać sutą kolację. Każda organizacja żegnała mnie osobno, wręczając pamiątkowe upominki. W imieniu Kółka Rolniczego przemawiał do mnie powszechnie poważany i lubiany Mikołaj Heppel. Gawędziliśmy serdecznie, wspominając wspólne przeżycia. Szybko minęła północ. Serdecznie ściskaliśmy sobie po raz ostatni nasze dłonie.

Moja praca w Wielkich Podmoklach należała do najtrudniejszych w dotychczasowym życiu, ale i najpiękniejszych i nigdy, dopóki żyć będę, jej nie zapomnę.

* * *

Mile jest wspomnieć o serdecznych przyjaciółach, o ludziach gościnnych, szczerych i szlachetnych. Gorąco wspominam patriotów, którzy na

oścież otworzyli polskiemu nauczycielowi bramę swego domostwa i użyczyli szkole polskiej i nauczycielowi mieszkania i izb lekcyjnych. W Wielkich Podmoklach czynili to: Franciszek Taberski, Stanisław Piątszyk, Maria Wołek i Kazimierz Michalski. Z wdzięcznością wspominam znaną rodzinę Wołków. Jan Wołek był pierwszym prezesem Koła Związku Polaków w Wielkich Podmoklach, a jego żona, dość wcześnie owdowiała, nigdy nie zmieniła swego postępowania, nawet gdy znalazła się po przedwczesnej śmierci męża w trudnych warunkach materialnych. Władysław – ich syn – był za moich czasów najzdolniejszym aktorem (niestety już także nie żyje). O nim zawsze mówiłem, że to „Mickiewicz” kroczący za pługiem”. Wszyscy z żalem go wspominają.

Z Małych Podmokli muszę wymienić rodzinę Stanisława Brychcego, Stacheckiego, Leona Heppla, Jana Janeczka, Rychłych, Wołków i Jędrzejów.

Wszyscy Polacy, którzy posyłali dzieci do szkoły polskiej, urastają w naszych oczach do prawdziwych patriotów, ale chyba na szczególnie wyróżnienie zasługują ci najodważniejsi, którzy pod swój dach przyjęli szkołę polską, bądź odnajdli mieszkania dla nauczycieli polskich. Stanowiło to warunek egzystencji szkoły polskiej.

* * *

Rok 1929 to rok powstania i narodzenia polskich szkół w Niemczech, a rok 1939 – to rok odwetu niemieckiego.

Z chwilą napadu Hitlera na Polskę zlikwidowano polskie szkoły, ginęli polscy nauczyciele męczeni i katowani w obozach koncentracyjnych, ginęli tamże ci rodzice, którzy stanowili ostoję polskiej szkoły. Prócz Franciszka Sarnowskiego z Wielkich Podmokli zginęli śmiercią męczeńską w obozach:

1. Piotr Olejniczak
2. Wincenty Frącek
3. Paweł Konopnicki
4. Jan Michalski

Trzynastu – Franciszek Weimann, Franciszek Taberski, Jan Tomaszewski, Marianna Tomaszewska, Kazimierz Michalski, Stanisław Trocholepsy, Feliks Trocholepsy, Katarzyna Heppel, Paweł Kania, Alfons Konopnicki, Stanisław Weimann, Mikołaj Heppel i Piotr Heppel – cierpiało w obozach za sprawę polską i cudem uniknęło śmierci.

W walce za obcą sprawę poniosło śmierć na polu bitwy wielu moich uczniów.

Tę samą tragedię przechodzili rodacy z Małych Podmokli. Chcę uczcić wśród nich taką Matkę-Polkę jak Rychła, która aż czworo dzieci ofiarowała Ojczyźnie. Podobne męczeństwo miało miejsce w każdej osadzie naszej Babimojszczyzny. A iluż tu braci rodaków z małymi dziećmi wygnano na poniewierkę z własnego domu, z własnego zagonu i zmuszono do niewolniczej pracy.